

Kolejne cztery lata Baracka Obamy w Białym Domu

Reelekcja Baracka Obamy oznacza, że w dużej mierze utrzymany zostanie dotychczasowy kierunek amerykańskiej polityki zagranicznej. Czy będzie to miało znaczenie dla stosunków transatlantyckich, dla roli i pozycji Europy w amerykańskiej strategii zewnętrznej? Odpowiedź na to pytanie wydaje się znacznie łatwiejsza dzisiaj, niż było to cztery lata temu. Wówczas pierwszy czarnoskóry prezydent Stanów Zjednoczonych, jakkolwiek przyjęty został z ogromnym entuzjazmem przez wielu europejskich polityków oraz dominującą część europejskiej opinii publicznej, stanowił jednak duży znak zapytania. Komentatorzy byli zgodni, że Obama przy całej swej charyzmie, zdolnościach oratorskich i sile oddziaływania na tłumy był dyletantem w polityce zagranicznej. Tymczasem stanął on w obliczu wielkich wyzwań i problemów. Jego administracja została skonfrontowana nie tylko z największym od dziesięcioleci kryzysem gospodarczym o wymiarze globalnym, nowymi potęgami gotowymi konkurować z Ameryką na polu gospodarczym i politycznym, lecz także z dwiema trudnymi wojnami toczonymi z udziałem amerykańskich żołnierzy oraz *last but not least* załamaniem w relacjach transatlantyckich. Problemem istotnym było również osłabienie rangi i pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie, a na kontynencie europejskim szczególnie.

Nr 97/2012
07'11'12

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-Badawczy,
Poznań

Autor:
Jadwiga Kiwerska

Redakcja:
Marta Götz
Radosław Grodzki
Krzysztof Malinowski

Nie ma więc przesady w twierdzeniu, że Europa oczekiwała od nowego lokatora Białego Domu nie tylko odbudowy nadwerżonego prestiżu Ameryki, ale przede wszystkim przywrócenia relacjom transatlantyckim znaczenia i rangi, niemalże nadania temu wyjątkowemu w historii układowi sensu istnienia. Żywiono nadzieję, że Europa pozostanie głównym partnerem Stanów Zjednoczonych, liczącym się w ich kalkulacjach politycznych, z którym Waszyngton konsultuje i ustala strategię.

Jest też prawdą, że stosunkowo szybko i łatwo udało się Obamie poprawić atmosferę w relacjach z głównymi sojusznikami europejskimi. Służyła temu zmiana stylu uprawiania polityki w Waszyngtonie, gdzie przywrócono wagę dyplomacji, zademonstrowano wolę współpracy i wysłuchiwanie racji partnerów. Multilateralizm powrócił do świadomości polityków amerykańskich jako najlepsza w obecnej, bo zmierzającej ku wielobiegunowości, sytuacji metoda osiągania celów i realizowania zadań. W efekcie Europa poczuła się – przynajmniej początkowo – bardziej doceniona, ważniejsza i współodpowiedzialna. Administracji Obamy zaś mogło się zdawać, że sojusznicy europejscy będą teraz gotowi pełnić rolę strategicznego partnera USA na arenie międzynarodowej, aktywnie angażującego się w rozwiązywanie problemów globalnych. Przesaną być – jak to kiedyś zgrabnie ujęto – „pasażerami na gapę”.

Rzeczywistość okazała się jednak bardziej skomplikowana i trudniejsza dla obu stron. Pojawiły się bowiem nowe okoliczności i wyzwania, które nie tylko osłabiały wspólnotę transatlantycką, ale powodowały, że amerykański punkt zainteresowania przeniósł się na inny region świata. I tak administracja Obamy wystąpiła z propozycjami i sugestiami, które nie spotkały się z odpowiednią, a przynajmniej oczekiwaną przez Amerykanów, reakcją strony europejskiej – np. Europa z wielkimi oporami odpowiadała na apele Obamy o skierowanie do Afganistanu dodatkowych żołnierzy. Tymczasem Ameryka chciała Europy, na którą będzie można liczyć przy rozwiązywaniu różnych problemów i która zaangażuje się na miarę swych – nie tak znów małych – możliwości w różnych częściach świata.

Z kolei wiele państw, w tym szczególnie z Europy Środkowo-Wschodniej, rozczarowały niektóre gesty i działania Waszyngtonu, choćby rezygnacja z instalowania systemu obrony antyrakietowej, co uważano za efekt „resetowania” stosunków z Rosją. Trudno też nie dostrzec, że dla Waszyngtonu czasu Obamy kontynent europejski przestał być regionem o pierwszorzędym znaczeniu. W jakimś stopniu było to efektem słabnących więzi emocjonalnych między czarnoskórym prezydentem USA a przywódcami europejskimi. W jakiejś mierze wynikało to z prostego faktu, że Europa przestała być przedmiotem szczególnych obaw amerykańskich o jej bezpieczeństwo i stabilizację.



Nie udało się zatem wzmocnić układu transatlantyckiego przez nadanie mu nowego, wyrazistego impulsu. Z jednej strony mieliśmy do czynienia z poczuciem marginalizacji Europy w globalnej polityce Waszyngtonu, z drugiej – utrzymującą się asertywnością i biernością Europy w odniesieniu do wielu wyzwań i problemów. Tego wrażenia nie zmieniła nawet zbrojna interwencja NATO w Libii, zainicjowana przez Paryż i Londyn – co było niewątpliwie precedensem. Nie była to bowiem akcja solidarna, z udziałem wszystkich państw NATO. Po drugie, w końcu to Ameryka musiała przejąć inicjatywę, zwiększyć swój udział militarny i znowu odegrać rolę pierwszoplanową, aby interwencja zbrojna w Libii zakończyła się sukcesem. Europa – mówiąc z pewną przesadą – sama nie podołała zadaniu.

Pozostaje do rozważenia jeszcze jeden czynnik, który w sposób zdecydowany wpłynął na kształt i charakter polityki zagranicznej administracji Obamy. Otóż osłabienie rangi Europy w amerykańskiej strategii zewnętrznej jest też konsekwencją funkcjonowania Stanów Zjednoczonych w świecie nowych, konkurencyjnych wobec Ameryki potęg, silnie zagrażających jej interesom. Podczas gdy Europa nie spełniła oczekiwań Obamy jako ważny gracz na arenie międzynarodowej, to inne podmioty stały się rzeczywistym konkurentem dla USA. Takim wyzwaniem są Chiny. Jeszcze cztery lata temu mówiło się, że ambicje Pekinu ograniczają się głównie do sfery ekonomicznej, obecnie zaś nie milkną głosy dowodzące, że rosnący potencjał gospodarczy Chin zaowocował wzrostem ich aspiracji politycznych w regionie azjatyckim. Nie dziwi więc fakt, że uwaga administracji Obamy skoncentrowała się właśnie na Dalekim Wschodzie. Nastąpił wręcz amerykański „zwrot ku Wybrzeżu Pacyfiku” (*pivot to the Pacific Rim*), oficjalnie zadeklarowany przez prezydenta Obamę w listopadzie 2011 r., podczas jego wizyty w Australii. Wtedy amerykański przywódca zapowiedział: „Priorytetem USA w polityce zagranicznej stanie się region Azji i Pacyfiku”. W dość powszechnej opinii ekspertów i komentatorów mamy więc do czynienia z wyraźną zmianą orientacji politycznej Stanów Zjednoczonych z atlantyckiej na Pacyfik. Można dodać, że dokonało się to kosztem Europy i europejskich sojuszników, za cenę osłabienia więzi ze Starym Światem, marginalizacji europejskich interesów.

Powracając teraz do punktu wyjścia – należy uznać, że ten azjatycki punkt ciężkości amerykańskiej polityki zostanie przez starą/nową administrację Obamy utrzymany. Na rejonie Pacyfiku koncentrować się będzie coraz bardziej uwaga dyplomacji amerykańskiej. Nie chodzi bowiem tylko o Chiny jako największe wyzwanie dla polityki Waszyngtonu, pod uwagę należy brać również generalnie przesuwające się centrum gospodarcze z Zachodu na Wschód oraz nasilający się proces – jak to określił



Zbigniew Brzeziński – „rozbudzenia politycznego” w świecie. Wszystko to będzie oddziaływało na amerykańską politykę i musi być w amerykańskich kalkulacjach rozważane. Nie można wykluczyć, że dynamikę współczesnego świata bardziej będą kształtować pełne napięcie, ale i wzajemnego uzależnienia stosunki Stanów Zjednoczonych z Chinami, niż pozostające w stanie dość stabilnym relacje Ameryki z Europą.

Czy oznacza to rzeczywistą i nieuniknioną deprecjację roli i znaczenia kontynentu europejskiego w polityce amerykańskiej? Czy skutkiem tego wszystkiego będzie dalsze wzajemne oddalanie się Europy (Unii Europejskiej) i Stanów Zjednoczonych? Pomimo nowych czynników, oddziałujących na amerykańskie żywotne interesy, Europa w świadomości amerykańskiej klasy politycznej i w kalkulacjach administracji Obamy pozostanie ważnym partnerem i sojusznikiem, a układ transatlantycki czynnikiem rangi i znaczenia obu jego członków. W końcu NATO utrzymało pozycję czołowego sojuszu obronnego we współczesnym świecie, jedyne dysponujące takim potencjałem i skutecznością – nawet przy różnych zastrzeżeniach i objawach swego rodzaju „desolidaryzacji” tej struktury. Są to czynniki, które każda administracja amerykańska, bez względu na to, czy będzie jej przewodzić lider o słabszych wobec Europy emocjach, czy prezentujący bliskie tej części świata uczucia, musi brać pod uwagę.

Wiele zależeć będzie od tego, czy i w jakim stopniu Europa zaprezentuje się jako gotowy do działania, aktywny aktor na scenie międzynarodowej. Do tego potrzebna jest wola wzięcia większej odpowiedzialności za bieg spraw w świecie, zaangażowania w rozwiązywanie problemów globalnych i to w różnym wymiarze, także militarnym. Takie działanie wzmocni znaczenie i rangę partnera europejskiego w oczach Amerykanów. Spowoduje, że drugiej kadencji Obamy w Białym Domu nie będzie towarzyszyła dalsza marginalizacja Europy w polityce amerykańskiej.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i WSNHiD w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.

Publikacja dofinansowana przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Stowarzyszenie Instytut Zachodni.

